



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Bogusław Uniśkiewicz

Sprzyjał mi łaskawy los

Patrząc wstecz po tylu latach życia na swoje dzieciństwo czasu wojny i porównując je z losem innych dzieci w tamtej i wielu następnych wojnach stoczonych od jej zakończenia – mogę mówić o wyjątkowym szczęściu, które mi wtedy sprzyjało. Stąd tytuł tych wspomnień – inny byłby obrazą łaskawego losu.

Dziwną cechą dziecięcej pamięci (nie wiem, czy powszechną) jest skłonność do zapominania najbardziej przykrych zdarzeń. I chyba dlatego odnoszę wrażenie, że moja pamięć ślizga się po powierzchni rzeczywistości rejestrując nieistotne szczegóły i notorycznie pomijając sedno spraw. Wynika stąd pewien bezład myśli. Dla zachowania autentyczności zapamiętanych przeżyć skupiam się więc na swoim dziecięcym widzeniu świata. Lecz dla jego uporządkowania muszą powoływać się też na relacje otoczenia. Stąd pewna dwoistość toku opowieści.

Urodziłem się 7 kwietnia 1939 roku. Mój ojciec, Stanisław, był porucznikiem 42 pułku piechoty w Białymstoku. W październiku tegoż roku został internowany przez wojska radzieckie. Pisał jeszcze do matki z Wołogdy, a w ostatnim liście z Kozielska dopytywał się „jak się Bug rozwija i czy już chodzi?”. Nie wiadomo, czy zdążył dostać odpowiedź, bo w kwietniu 1940 roku wyjechał w ostatnią podróż do Lasów Katyńskich transportem numer XVIII.

Ulicę Łąkową, gdzie mieszkaliśmy, upodobali sobie oficerowie NKWD. Sąsiadujący z nami major uparł się wyrzucić matkę z mieszkania i stosował w tym celu terror psychiczny pod postacią gróźb i wyzwick. Matka na szczęście nie wytrzymała tego nerwowo i zabrawszy mnie w beciku i kilka skromnych kosztowności uciekła do swoich rodziców do Warszawy unikając tym samym masowej wywózki rodzin wojskowych, jaka miała miejsce w marcu 1940 roku. „Zieloną granicę” przekraczaliśmy pod Ostrołękę w styczniową noc roku 1940 przy temperaturze 40°C. Największy kłopot był ze mną, ponieważ przeciwko próbom zasłonięcia twarzy protestowałem donośnym wrzaskiem mogącym zaalarmować radzieckich żołnierzy kryjących się po chałupach. Raz sanie przewróciły się i całe towarzystwo szukało mnie w zaspie, gdzie najspokojniej usnąłem. Skończyło się na odmrożeniu policzków. Gorzej wyszła matka, ponieważ nabawiła się zapalenia żył, wskutek czego musieliśmy przeczekać kilka dni we wsi po niemieckiej stronie. To schorzenie stało się jednym z przekleństw jej życia do dziś, gdyż z upływem czasu powstawały nowe powikłania, niekiedy zagrażające zgonem.

W Warszawie zamieszkaliśmy u dziadków na Kwiatowej. Dziadka zupełnie nie pamiętam, gdyż wkrótce zmarł. Znam tylko jego zapiski i fotografie w mundurze weterana Powstania Styczniowego.

Niewiele pamiętam z przedpowstaniowej Warszawy, zaś to co zapamiętałem to – dziwnym trafem – same drobiazgi. Najwyraźniej jawi mi się przed oczami plaża (później dowiedziałem się, że była to

Saska Kępa) i mój brat cioteczny Jacek, któremu upadł pomidor i pękł brudząc się piaskiem. Jacek robił też „szwabskie czapki”. Odgarnąwszy warstwę suchego piasku klękał w rozkroku i nagarniał piasek mokry na uda i podbrzusze. Po solidnym uklepaniu wycofywał się ostrożnie i zostawiał zwarty foremny nawis piasku do złudzenia przypominający eleganckie denko czapki niemieckiego oficera.

Drugie wspomnienie to ławka przy chodniku (Aleje Ujazdowskie?). Siedziałem obok matki mając z drugiego boku Jacka, a dalej – ciocię Barbarę. Przed nami szła pani z chłopcem nieco starszym od nas. Chłopak maszerował dziarsko wyładowując nadmiar energii synkopowaniem obcasami o chodnik przy każdym kroku. Nikt z nas nie komentował dziwnego chodu, ale kiedy nasze matki wstały kierując się do domu, ruszyliśmy też dziarskim krokiem synkopowanym narażając się z miejsca na reprimendę (Szkoda butów!).

Ostatnie wspomnienie z Warszawy tamtego czasu: przejście podziemne z lampami w okrągłym mlecznych kloszach na ścianach. To chyba był Dworzec Główny, ponieważ wyjeżdżaliśmy do Czyżyn koło Krakowa, gdzie matka dostała pracę w Monopolu Tytoniowym i gdzie przyszło nam żyć do zakończenia wojny.

Po przyjeździe do Czyżyn zatrzymaliśmy się u cioci Joanny w „pałacu Mamesa”. Był to prowizoryczny budynek postawiony jeszcze przed wojną na użytek ekipy wykonującej jakieś zlecenia dla Monopolu. Mames był szefem tej ekipy i stąd nazwa domu nadana przez wujka Jerzego, który również pracował w Monopolu jako inżynier. Mames znikł gdzieś na początku wojny.

Do cioci Joanny przekonałem się od razu i bardzo ją polubiłem. Nie umiałem jakoś wymówić jej imienia i w mojej wersji nazywała się Iłanna. Jej męża natomiast bałem się panicznie i chowałem przed nim po kątach, chociaż mimo cholerycznego usposobienia nie zrobił mi nigdy krzywdy. Jakoś nie trafiało do mnie, że może on mieć imię własne i określałem go pochodnym mianem „Iłan”. Najszczęśliwszy byłem, gdy Iłan szedł „do hali”. Była to szopa na podwórzu, w której godzinami coś majstrował, a ja w tym czasie wychodziłem z ukrycia. Nigdy w „Hali” nie byłem i nie interesowało mnie, co on tam robił.

Wujostwo nie mieli dzieci, chociaż byli starsi od mojej matki. Mieszkanie było dobrze urządzone. Jeden kąt miał szczególne prawo do barwnego nieładu, ponieważ ciocia malowała (była dyplomowaną malarką i – sądząc po skąpej spuściźnie – utalentowaną). Lecz, jak wielu artystów w tamtym czasie, chorowała na gruźlicę. Znaczenie tego słowa szybko zrozumiałem widząc, jak marnieje. Zaprzestała wożenia mnie na sankach. Potem nie miała siły wstać z łóżka. Kiedyś wyciągnęła słabnącą rękę częstując mnie suszonymi borówkami z papierowej torebki. Nie wiem, czy to był przysmak, czy może lekarstwo (antybiotyków nie było). Musiała mówić niewyraźnie, gdyż zrozumiałem, że to są mrówki i dziwiłem się, że tak napęczniałe. Odeszła cicho i dyskretnie. Na pogrzeb mnie nie zabrano.

Otoczenie tamtego domu pamiętam z fotograficzną dokładnością. Zamykająca podwórze brama z desek wychodząca na drogę do Monopolu, cembrowana studnia z drewnianym zadaszaniem i korbą, szopa z drewnem przylegająca do „Hali”, a obok niej skromna przybudówka, w której mieszkała kobieta z młodszym ode mnie synem Artkiem. Bieda była u nich straszna. Artek był rozmowny, lecz niewiele jego wypowiedzi nadaje się do przytoczenia ze względów cenzuralnych. Pewna scenka może dać pojęcie o jego życiu. Raz matka zostawiła go u nas mając jakieś sprawy do załatwienia. Antek przysiadł na stołeczku, lecz wiercił się niespokojnie, mruzczał coś pod nosem, aż wreszcie wybuchnął okrzykiem rozkazu i rozpaczy: „Chliba dać!”.

A więc matka podjęła prac w Monopolu. Była urzędniczką niższej rangi nadzorująca organizację produkcji w oddziale. W niedalekiej przyszłości ta jej funkcja miała być decydująca dla mojego życia. Wraz z etatem matki uzyskaliśmy przydział na mieszkanie. Był to wygodny i nowoczesny pokój (kaloryfery!) w solidnym domu będącym własnością Ukrainki o nazwisku Semczyszynowa. Nie pamiętam jej jako osoby ludzkiej, lecz jako symbol wszelkiego zła na tym świecie. Z dzisiejszych wspomnień matki wiem, że miała ona syna, który pojawiał się na krótko i tylko nocą. Może był w jakiejś partyzantce? Nigdy się tego nie dowiedzieliśmy.

W domu Semczyszynowej najbardziej podobały mi się drzwi zewnętrzne – miały elegancki wygląd i szklany wizjer, który uważałem za szczyt wykwintu. Chodnik z płyt prowadził od drzwi wprost na stację kolejową. Dokładnie pamiętam, że po lewej rosły liliowe mieczyki, a prawa strona była obsadzona bzem. Wielokrotnie spacerowałem tym chodnikiem aż do drogi biegnącej wzdłuż toru. Często towarzyszyłem na tej drodze matce dźwigającej węgiel na opał ze stacji kolejowej. Na prawo tor wiódł do Krakowa, a na lewo do Kocmyrzowa z bocznica do Monopolu. O Krakowie już trochę wiedziałem, natomiast Kocmyrzów na podstawie nazwy wyobrażałem sobie jako wielkie miasto spowite dymem i nawiedzone przez myszy, a więc coś na wzór XIX wiecznego Londynu. Żałuję dziś, że nigdy nie byłem w Kocmyrzowie. I jeżeli istnieją „podróże życia”, to będę musiał kiedyś tam się wybrać, o ile nie wchłonęła go Nowa Huta.

Linia kocmyrzowska miała swoje epepeje na miarę Jacka Londona. Ich bohaterami byli chłopcy niewiele starsi ode mnie, którzy kradli węgiel z tendrów. Na stacji obchodzili pociąg obserwując, gdzie lokują się konduktorzy i czy są Niemcy. Jeżeli warunki uważali za korzystne, wskakiwali do pociągu tuż

po odjeździe, przedostawali się na tender, zrzucali kilka brył węgla na pobocze toru i wyskakiwali. Zebrawszy „urobek” uciekali gdzieś na ubocze i solidarnie dzielili się lupem. Byłem dumny, że traktowali mnie przyjaźnie, chociaż nigdy nie proponowali uczestnictwa w procederze, a tym bardziej w podziale. Pewnego dnia po wypadzie uciekli na tyły naszego domu. W trakcie podziału któryś krzyknął: „Rany boskie! Policja!” Rozpierzchli się po opłotkach jak spłoszone wróble porzuciwszy worek z rozsypanym węglem pod moimi nogami. Ścieżką nadjechało dwóch „granatowych” na rowerach. Zatrzymali się nad rozsypanymi pod płotem bryłami i nie widząc nikogo innego zaczęli mnie „rozpytywać”, co to za węgiel. „Do pieca – wyjaśniłem ogólnikowo. Popatrzyli na mnie badawczo. „A ty gdzie mieszkasz?” – zapytał jeden z nich. „Tutaj” – odpowiedziałem spokojnie. Widocznie uznali mnie za kogoś z rodziny Szemczyszynowej i stracili ochotę do dalszych dociekań, po czym odjechali nieśpiesznie. Po chwili pojawili się znów spłoszeni chłopcy. „Nie powiedzioł” – dobiegły mnie strzępy ożywionej rozmowy. Pozbierali swój węgiel i szykowali się do odejścia.

– Te mały! „Nie widziołeś nos!” – zwrócił się do mnie któryś z nich.

– Nie widziołem – odrzekłem skwapliwie i po raz pierwszy w życiu odczułem ciężar tajemnicy.

– Dobra, chłopcy! On je nasza kolega – orzekł mój rozmówca.

Ze wszystkich awansów kolegialnych, jakie mnie później spotkały, tamten pierwszy wspominam z największą satysfakcją.

Pewnego dnia, gdy po chodniku od domu do stacji toczyłem kółko na kiju, zatrzymał się pociąg osobowy z niemieckimi żołnierzami. Przyglądałem się tym wesołym młodym ludziom stojącym na pomoście wagonu, kiedy jeden z nich podniósł karabin i oparłszy kolbę na barku wycelował w moją stronę. Przeraziłem się, więc już rozumiałem, czym jest broń palna. Uciekałem do domu w popłochu bezwiednie stawiając sobą zaporę z gazów jelitowych. Za mną rozlegał się rechot rozbawionych bojowników nowego ładu. Strzał nie padł, ponieważ najwyraźniej chodziło jedynie o wywołanie wrażenia.

Po podjęciu przez matkę pracy w Monopolu przeżywałem gehennę, bo na większą część dnia byłem zamknięty sam w domu. Matka przychodziła w czasie przerwy obiadowej, żeby mnie nakarmić, a czasem zmienić zabrudzoną bieliznę. Zezwolenie na ten wypady było akceptowane przez samego dyrektora naczelnego Szuberta. Ponieważ z powodu odległości trwały one zbyt długo i nadto naruszały tok produkcji, Szubert zaproponował matce, żeby zabierała mnie do Monopolu. I w taki sposób stałem się pupilem zakładu.

Od nas do Monopolu szło się drogą na Kocmyrzów, potem dróżką w prawo, która przecinała linię kolejową, a ostatni odcinek pełną ścieżką. Najlepiej zapamiętałem tę ścieżkę w różnej scenerii: w iskrzącym śniegu, w błotach roztopów, wśród wschodzących zbóż, w zbożach wyrastających znacznie powyżej mojej głowy, wśród ściernisk pokrytych poranną rosą i w listopadowych szarugach, lubiłem te marsze i nigdy nie narzekałem na pogodę. W Monopolu nie miałem stałego miejsca zakotwiczenia i wałęsałem się po całym zakładzie. W pogodne dni dużo przebywałem w okolicach bramy, gdzie był duży okrągły klomb obsadzony po brzegach marginesem różnokolorowych bratków, których małpim twarzyczkom lubiłem się przyglądać. Czasem przy pomocy sznurka wyprawiałem w długie trasy wokół klombu drewnianą ciężarówkę kupioną przez matkę. Jak to zwykle u dzieci, miałem doskonale podzieloną uwagę i bacznie obserwowałem bramę i wartownię, bo tam często działy się rzeczy ciekawe – rewizje osobiste (reguła przy przekraczaniu bramy), kłótnie o formalną poprawność dokumentów upoważniających do wjazdu lub wyjazdu i podobne sceny z życia dorosłych w realiach okupacji. Wartownikami wyli wyłącznie Niemcy i folksdojczcy. W sytuacjach trudnych na telefoniczne wezwanie przybywał Hulajnoga – starszy już, kulawy Niemiec będący prawą ręką dyrektora w sprawach nagłych. Hulajnoga (nazwiska nigdy nie słyszałem) kuśtykał wtedy ku bramie nadrabiając niedostatek sprawności skrzeczącymi krzykami i przekleństwami po niemiecku z wtrącaniem niekiedy pojedynczych słów polskich. Czasem rzucał w moją stronę wściekle spojrzenie, ale nigdy się mnie nie czepiał. To z jego ust usłyszałem pierwsze zrozumiałe dla mnie niemieckie słowa.

– Halt! Zurück! – krzyczał kiedyś Hulajnoga na robotników wiozących na taczkach szafę.

Robotnicy zatrzymali się i wręczyli mu jakiś papier. Usiłowali mu coś wyjaśnić wskazując to na papier, to na szafę, to na bramę, a najczęściej w stronę dyrekcji, przy czym powtarzali nazwisko Schubert, jak powołanie się na świadectwo Zeusa w starożytnej tragedii. Na dźwięk nazwiska Hulajnoga nieco złagodniał.

– „Warten! Czekacz!” – szczerkał i pokuśtykał na wartownię telefonować. Po chwili szwargotania w słuchawkę wrócił do czekających robotników, oddał im papier i rozkazał: „Einladen! Ładowacz!” wskazując na stojącą obok ciężarówkę z niemieckimi żołnierzami w szoferce. Niebawem ciężarówka z szafą opuściła zakład zmierzając prawdopodobnie w kierunku domu jakiegoś niemieckiego notabla. Sprawa chyba od początku była jasna, lecz Hulajnoga chciał zapewne popisać się służbistością. Co zaś do jego krzyków i przekleństw, to po latach myślę, że musiał wrzeszczeć, żeby nie wyć z bólu w chorej nodze i z tęsknoty za swoim „Heimatem”, gdzie jako zasłużony rencista grywałby w karty i popijał piwo.

W pewien słoneczny dzień, gdy bawiłem się przy bramie, wyszła z zakładu po rewizji grupa robotników. Jeden z nich zatrzymał się i krzyknął do wartownika:

– Te, Józek! A Franek tytoń wynosi w gaciach i ón powiedział, cobyś go w dupę pocałował.

Na to Józek przybrał poważną minę i odkrzyknął:

– Dobra, dobra! Jo wim, jo mu powim.

Po latach dowiedziałem się od matki, że służbista Werkschutz Joseph ukrywał zaawansowany niedosłuch bojąc się utraty pracy.

Główną część zakładu stanowiły dwa bloki produkcyjne z szarej cegły połączone podziemnym tunelem. Znałem je wtedy na pamięć, ponieważ pałętałem się wszędzie. Najbardziej fascynowały mnie wielopiętrowe komory fermentacyjne, po których zewnętrznej stronie biegły schodki z blachy stalowej dźwięcznie brzęące przy każdym kroku. Przy podestach znajdowały się dyżurki fermentatorów, których najbardziej szanowałem z racji ich szczególnych stanowisk pracy. Nigdy nie udało mi się znaleźć mitycznego „proktora” (dział fermentacji szybkiej metodą Proctora). Kojarząc go z traktorem poszukiwałem komory, która wibrowałaby i terkotała, a we wszystkich słychać było tylko szum wentylatorów. Musiałem tam nieraz być nie wiedząc, że słynny „proktor” różni się tylko przebiegiem procesu.

Często bywałem w stolarni, gdzie cierpliwie sklecano moją ciężarówkę po kolejnych kraksach, a także drewniany samolot, który dostałem nieco później a w którym wiecznie łamało się skrzydło, bo był przeznaczony do kołowania na sznurku, a ja uparłem się, że powinien latać.

Chętnie bawiłem się wózkami w prasowni. Każdy z nich był wielkości furgonetki. Czubato wypełniony liśćmi wózek ustawiano dokładnie na prostokącie wymalowanym na podłodze. Spod sufitu opadała powoli stopa prasy na grubym sworzniu i po zgnieceniu liści do niewielkiej objętości wracała na swoje miejsce u sufitu. Wtedy otwierano burty wózka, zrzucano sprasowaną belę na transporter, a wózek odstawiano pod ścianę. W tym momencie przystępowałem do dzieła. Napierając całym ciężarem drobnego ciała na pusty wózek udawało mi się w końcu wprawić go w powolny ruch i nawet w pewnym stopniu manewrować. Robotnicy próbowali odwieść mnie od tej męczarni i wielokrotnie wzywali matkę do interwencji. Ale mimo krzyków i zakazów stale usiłowałem wracać do tej zabawy. Przy prasie mi się nie udawało, ale czasem dopadałem pusty wózek w tunelu łącznikowym i tam uprawiałem zakazany proceder.

Za budynkami produkcyjnymi był teren rekreacyjny. Pamiętam boiska do siatkówki, korty tenisowe, duży basen i brodzik dla dzieci oraz rząd huśtawek i piaskownic. W czasie okupacji mało kto z tych obiektów korzystał, ale do basenów stale napływała świeża woda, a po terenie kręcił się konserwator utrzymujący porządek. Mógłbym dziś myśleć, że takie urządzenia w zakładzie wybudowanym w kapitalistycznej Polsce przedwrześniowej są wytworem mojej wyobraźni, ale mam fotografie, na których szczerzę zęby z huśtawki albo na tle dobrze utrzymanego kortu. Obok terenów rekreacyjnych było gospodarstwo rolne kierowane przez panią Ralską z doktoratem warszawskiej SGGW. Uprawy prowadzono przez cały rok, bo były tam również inspekty. Większość produktów zabierało wojsko, ale część zasilala stołówkę pracowniczą.

Jednowładnym bogiem Monopolu był wspomniany już Schubert. Wszyscy wyrażali się o nim z szacunkiem. Nie używano określenia „dyrektor Schubert”. I słusznie, bo dyrektor – to jedynie funkcja, a Schubert to postać. Kiedy mówiono „Schubert powiedział, że.....” to oznaczało, że relacja jest absolutnie prawdziwa i nie podlega dyskusji. Dla mnie też miał cechy boskie, bo wszyscy o nim mówili, a ja go nigdy nie widziałem.

Tuż przed nadejściem frontu Schubert zorganizował w zakładzie przedszkole ułatwiając tym życie wielu pracującym matkom, a niektórym dzieciom stwarzając lepsze warunki żywienia. Przez krótki czas byłem jego adeptem, chociaż kłopotliwym, bo lubiłem uciekać i z przyzwyczajenia wałęsałem się po terenie.

Po latach zastanawiam się, kim był ten tajemniczy Schubert. Co myślał patrząc z okiem swego gabinetu na zakład zbudowany rękami narodu pogardzanego przez faszystów i zaprzeczający nowoczesnością stereotypowi „polnische Wirtschaft”? Czy troska o pracowników wynikała tylko z doktryny produkcji, czy też z jakichś poglądów społecznych? Jak oceniał tych prawie niepiśmiennych chłopów, którzy po przyuczeniu radzili sobie z wyrafinowanym technicznie sprzętem? Na podstawie dzisiejszej wiedzy o Niemcach sądzę, że mógł być socjaldemokratą lub chadekiem (jeśli nie organizacyjnie, to z przekonania) i osiłą jego działań była trudna droga między wydajnością ekonomiczną a awansem socjalnym pracowników ponad wszelkimi kwestiami narodowymi. I dobrze trzymał się tej drogi nawet w warunkach wojny i okupacji. A sposób urządzenia zakładu przez jego polskich budowniczych też nosił cechy „trzeciej drogi”, na którą tak wstydliwie wkracza od pewnego czasu Europa wstrząsana hałasem skrajnych ruchów politycznych. Nie zdziwiła mnie informacja uzyskana od matki, że kiedy Niemcy opuszczali Czyżyny, Schubert dostał na pożegnanie od pracowników złotą papierosnicę z dziękczynną dedykacją.

Mimo rodzinnej atmosfery w Monopolu matka nie była zachwycona trybem mojej edukacji. Problem rozwiązał przyjazd babci, która roztoczyła nade mną opiekę. Była ona osobą świętą w pełnym słowa tego znaczenia tego słowa. Choć nie pozbawioną zmysłu praktycznego. Uwielbiałem wyprawy do przydrożnych rowów, gdzie babcia uczyła mnie zbierania liści komosy, które posiekane doskonale zastępowały życiodajny szpinak. A herbata z badyli i liści malinowych była prawdziwym przysmakiem. W epoce babci jadało się nadal skromnie, ale bardziej regularnie. Pensja matki nie wystarczałaby na wyżywienie trzech osób. Sytuację ratował deputat z Monopoli w postaci papierosów i wódki. Woziliśmy te dobra do Krakowa, gdzie matka w sklepiku obok Dworca Głównego zamieniała je na produkty żywnościowe i trochę gotówki. Po transakcji zawsze powtarzał się ten sam rytuał. Matka ciągnęła mnie w stronę dworca, a ja upierałem się tupiąc i płacząc, że trzeba iść w odwrotnym kierunku, tam za ten most, za którym znikają tramwaje. „Wiedziałem siłą przeczucia., że tam jest inny świat, który koniecznie trzeba zobaczyć. Lecz matka nie ustępowała. Ten świat nie był dla ludzi, którzy mają pół godziny do odjazdu pociągu. Więc na pocieszenie kupowała mi ciastko obok dworca i znów na hasło „Abfahrt!” wracaliśmy przez Grzegózki do Czyżyn bogatsi o poleć słoniny i trochę grosza.

Kiedy skończyło się moje wałęsanie po Monopolu, zacząłem się nudzić w domu. Czasem przybierało to postać słownej agresji wobec babci. Kiedyś nawet zagroziłem: „A ja babci haczyk w simpsonie umocę!”. Nie wiem dlaczego, ale simpsonem nazywano w mojej rodzinie zwykły nocnik i nie wiadomo, czy miało to związek z nazwiskiem ukochanej abdykującego niegdyś brytyjskiego króla. Co zaś do haczyka, to chodziło o pogrzebacz do pieca. Nawiasem mówiąc, nigdy nie spełniłem swej straszliwej groźby. Babcia opędzała się cierpliwie przed moimi atakami i pozwalała mi na wiele, między innymi na buszowanie w szpargalach pozostałych po poprzednich lokatorach. Znalazłem tam dziwny zeszyt, który był ćwiczeniowym dodatkiem do elementarza i zawierał karty z literami do wycinania. Powycinałem wszystkie litery i założyłem kolekcję w pudełku po papierosach. Sporadycznie wyciągałem każdy ze swoich skarbów i pytałem babcię o jego znaczenie. Dzięki jej zdawkowym wyjaśnieniom skonstatowałem, że litery mogą być lepsze „drukowane”, jakie spotyka się w gazetach i na szyldach, oraz „pisane”, których właściwie nie widuje się. Za swoje faworyty uznałem „drukowane” i przystąpiłem do dokładniejszych dociekań.

Któregoś dnia wysłano mnie na stację po zapalki i gazetę. Po dokonaniu zakupu przyjrzałem się gazecie i nagle ona do mnie przemówiła. Jedną ze stron otwierał rysunek nagiej kobiety na pędzącym byku i obok napis „Europa”. Poniżej „Bez Ukrainy?” brzmiał tytuł artykułu, którego treści nie przyswoiłem i do dziś nie wiem, o co tam chodziło. Pamiętam tylko zaskoczenie sformułowaniem. Czyżby już nie miało być Szemczyszynowej i naszego domu? Nie omieszkałem zapytać o to matki. Ta zerwała się na równe nogi widząc, że coś przyswajam z gazety.

– Co mamusia najlepszego zrobiła? – zwróciła się z wyrzutem do babci. – To za wcześniej, żebyś czytał gazety.

Byłem zdziwiony, bo wcale nie miałem takiego zamiaru. Faktem jest jednak, że przedwczesna umiejętność czytania nieco wykoślawiła mi charakter.

Posiadłszy umiejętność czytania porzuciłem wcześniejszą mistyfikację polegającą na wodzeniu palcem po tekście z jednoczesnym recytowaniem z pamięci, co na znajomych matki sprawiało wrażenie, jakbym czytał. Miałem trochę książek, lecz z tego okresu pamiętam tylko dwa tytuły: „O Magdzie, mące, kluskach i zegarach” i „Pan Tom buduje dom”. Autorów ani treści nie pamiętam. Mając zajęcie zaniechałem wybuchów zniecierpliwienia i agresji.

Na piętrze domu Szemczyszynowej mieszkała bardzo elegancka pani z dwójką synów starszych ode mnie. Zazdrościłem im umiejętności zjeżdżania po poręczy. Nigdy ich nie poznałem. Pamiętam tylko, że jednego z nich nazywano Ludkiem, co mi się bardzo podobało. Pewnego dnia w domu rozeszła się wiadomość, że do chłopców ma przyjechać długo nie widziany tatuś z Krakowa. (Interpretacja dzisiaj: długo nie widziany tatuś odległy o około 10 kilometrów – to albo separacja, albo konspiracja; gdzie prawda – nie wiem). Gdy nowina dotarła do mich uszu, natychmiast zadałem matce pytanie: „A kiedy do mnie przyjedzie mój tatuś?” Matka rozplakała się, „Czekamy na niego” – wyjaśniła mi. Czekanie stawało się coraz bardziej nerwowe, ponieważ pojawiły się rozprowadzane przez Niemców plakaty z napisem „Katyń” przedstawiające żołnierza w polskim mundurze leżącego w śniegu. Pewnej niedzieli wracając z kościoła zatrzymaliśmy się przed takim plakatem. Matka zwróciła się do babci: „Może i Staszek tam leży?”. Babcia na wszystko miała jedną odpowiedź: „Pokładajmy nadzieje w Bogu, dziecko”. Nie wiedziała wtedy, że zbrodniczy wyrok zbrodniczy wyrok i ohydna kaźń były już faktami dokonanymi.

W tym czasie zacząłem miewać napady melancholii. Na pytania o przyczynę smutku niezmiennie odpowiadałem „Bo tatuś nie wraca”. Dziś nie wiem czy było to autentyczne odczucie, czy sztuczna racjonalizacja doznań wywołanych chorobą cielesną, bo pojawiły się jednocześnie napady gorączki, dziwne przewlekłe „przeziębienia” i postępujące chudnięcie. Po kolejnej wizycie miejscowy lekarz ogólny, dr Otembrajt (Polak) postawił rozpoznanie gruźlicy i poradził matce poszukanie dobrego specjalisty w Krakowie. Po wizytach u kilku lekarzy, którzy odzegnali się od prób leczenia, trafiłem do

dra Gołąba. Leczył mnie wcierkami tuberkuliny w skórę, które miały wywołać pobudzenie swoistej odporności. Efektem były burzliwe reakcje gorączkowe wywołujące przerażenie rodziny. Ponieważ dr Gołąb zalecał również dobre odżywianie, matka przystąpiła do pertraktacji z ludźmi najbardziej kompetentnymi. W rezultacie znalazłem się pod opieką szanowanego mistrza sztuki rzeźniczo-masarskiej, pana Zamojskiego. Jego córka była pracownicą Monopoli podległą mojej matce. Nie znam szczegółów umowy, w każdym razie orzeczono, że żywienie na odległość jest zbyt kłopotliwe, więc zamieszkałem w tym szacownym domu. Pamiętam go dokładnie. Był położony na zachodnim krańcu Czyżyn (w kierunku Krakowa) u zbiegu głównej drogi wzdłuż toru i drogi prowadzącej na Łęg. Placyk rozwidlenia zamyka kościół odgradzony parkanem.

U pana Zamojskiego najważniejszą rzeczą był porządek i najważniejszym sprzętem w przedpokoju była szafka ze szczotkami do butów i do ubrania. Tam też po raz pierwszy w życiu zobaczyłem fortepian. Nie pamiętam czy ktoś na nim grał, ale to nie jest ważne. Najważniejsze dla mnie dzisiaj, choć nie znam do końca motywów decyzji, jest przyjęcie chorego dziecka pod własny dach. Nie pamiętam tych ludzi, ich imion, ich zwyczajów. Pozostało jedynie ogólne wrażenie, że było mi tam tak dobrze jak w rodzinie. Zachowałem wspomnienie czystości i spokoju w mieszkaniu na piętrze oraz wspaniałych zapachów wędlin w sklepie na parterze. Dziś w dobie tzw. komercjalizacji takich zapachów już nie ma. Pamiętam świeże bułki, które można było nabyć u rzeźnika wraz z plasterkiem szynki, co razem stanowiło tani posiłek.

Wyroki losu są nieodgadnione i często paradoksalne. Już wiele lat po wojnie dowiedziałem się, że córka pana Zamojskiego w trakcie przygotowań do ślubu spadła z roweru doznając drobnego skaleczenia skutkującego tężcem o przebiegu śmiertelnym.

Gdy nadeszło lato, pojechałem do innego „sanatorium” w Kantorowicach. Wieś leżała w pobliżu linii do mitycznego Kocmyrzowa. Pamiętam drogę od kolei przez pola i łąki faliście rozłożone na pagórkach. Tuz przed wsią był jar, na którego dnie krzyżowały się dwie polne drogi. Zawsze zastanawiałem się ze zgrozą, co by było, gdyby spotkały się tam rozpędzone furmanki. Na szczęście nigdy do tego nie doszło. Łąkę zapamiętałem dobrze, bo użądliła mnie tam w stopę nadeptnięta nieopatrznie pszczoła.

Moimi gospodarzami byli rodzice nauczycielki, która zatrudniła się w Monopolu jako robotnica i podlegała mojej matce. Przez pewien czas czuwała nad moją aklimatyzacją i nie stawiała się w pracy, a na odprawach któraś z koleżanek krzyczała za nią „jestem!”. Ja wtedy o tym nie wiedziałem, ale w razie wykrycia następnym domem dla wszystkich winowajczyń stałby się pobliski Oświęcim.

Obejście moich gospodarzy leżało na skraju, pierwsze przy drodze od kolei i jako położone na stoku – górowało nad resztą wsi. To ukształtowanie terenu było bardzo ważne, ponieważ wraz z dzieciarnią gospodarzy i sąsiadów zjeżdżało się po stoku na jakiejś żelaznej ramie z kółkami, która służyła do transportu bron i pługów. Na dole wózek zarywał się w piasku i wyrzucał jeźdźca w gęste skupienie kurzego i kaczego łajna, a kto zdołał dojechać dalej – lądował w pokrzywach, co wzbudzało największą wesołość. Po skończonej zabawie szło się do źródła. Była to rura wbita w stok pagórka, z której stale długim łukiem pod znacznym ciśnieniem wypływała woda gruntowa. W upalny dzień przyjemny chłód cieczy koił skórę poparzoną przez pokrzywy i podrażnioną ptasimi odchodami zmieszanyymi z potem.

Na moją kurację oprócz świeżego powietrza składało się kozie mleko i obowiązkowe codziennie surowe gęsie jajo. A przede wszystkim przestałem grymasić i chętnie zjadałem wszystko, co mi dawano, ku zdumieniu i radości matki, która odwiedzała mnie w niedzielę.

Z dziećmi wiejskimi szybko zaprzyjaźniłem się, ale bliższe kontakty były dosyć rzadkie. One chyba pracowały w polu z rodzicami. Raz tylko złożyłem wizytę na zaproszenie rówieśnika z drugiego końca wsi. Miał na imię Poldek. Zabawa, którą zaproponował, przypadła mi bardzo do gustu. Polegała na zjazdach po słomie z wysoko wypełnionego sąsiedka. Zapach słomy jest bardziej tajemniczy niż zapach siana, a mnie przypominał ukochany tytoń w komorze fermentacyjnej w Monopolu. W zapamiętaniu nie zwracaliśmy uwagi na żdźbła, które raniły skórę. W pewnej chwili Poldek zasepił się, ocenił gospodarskim okiem położenie słońca i zwrócił się do mnie z troską:

– Te, już popołudnie. Nie bedom na cie swarzyć?

– Nie bedom – odpowiedziałem niepewnie, bo nie wiedziałem, co znaczy owo wspaniałe (jak je dziś oceniam) słowo.

– Te, wiesz co, to ty już lepiej idź se do domu – zawyrokował.

– No to serwus!

– Serwus!

Powlokłem się „do domu” wygarniając spod koszuli kłującą słomę. Poldek miał rację – swarzyli. Ale nie długo, bo z ulgą odetchnęli, że się wreszcie ta powsinoga znalazła. A zapach słomy wkrótce rozwiął się wśród woni odgrzewanego obiadu. Moi gospodarze byli we wsi lubiani i szanowani. Wieczorami schodzili się do nich ludzie na pogwarki. Wszyscy, dzieci również, siadywali przy wielkim kuchennym stole pod samym oknem, w którego czerni odbijał się płomyk naftowej lampy. Z rozmów pamiętam głównie te o tematyce wojennej, np. jak partyzanci gdzieś niedaleko wysadzili w powietrze tory kolejowe.

– W ósemki je poskręcało – stwierdził ktoś. Wyobrażałem sobie, jak tam musi być ciekawie: lokomotywa jeździ ósemkami usiłując wyplątać się z matni i cicho pogwizduje. Ktoś też opowiadał, że pod Staszowem partyzanci starli się z Niemcami i zabili kilku żołnierzy. Chociaż były to męskie rozmowy, to tu stanowczo wtrąciła się gospodyni.

– A żeby ich wszystkich wybili, psiajuchów! Za te nasze krzywdę, za te kontyngenty i kontrybucje. Wszystkich co do nogi!

– Eee! Tak dobrze to nie będzie – skonstatował realistycznie gospodarz. Ale przecie już niedługo musi się to chyba skończyć. Pon Bóg wysłucha dzieciaka. Busiek zawdy kończy pacierz: „I daj Boziu, żeby Szkopy sobie poszły”.

Pewnego wieczoru zjawiała się niewiadomo skąd młoda kobieta, jak ja oceniałem z dziecięcej perspektywy, co znaczy, że równie dobrze mogła mieć 12 lub 13 lat. Wszyscy uważnie słuchali jej dziwnej choć nieskładnej opowieści:

– Ja byłam bohaterkom – ciągnęła z przejęciem. Nos w Krakowie wsadzili na ciężarówkę i wieźli. Ale my chcieli do domu. Szkopy strzelały, ale my uciekli.

Tyle tylko pamiętam z jej relacji i nie wiem, czego dotyczyła. Może ucieczka z łapanek? Może już był sierotą nawet o tym nie wiedząc. Nie znam jej dalszych losów.

Groteskowym bohaterem jednego z wieczorów stałem się ja sam. Jakiś wyrostek wskazał na mnie palcem i powiedział:

– Mówiom, co ta powsinoga umie czytać. Jo nie wierze.

– Nie wierzysz, to uwierzysz – odparł gospodarz – Busiek, czytej, co tu pisze – nakazał oddając mi słoik musztardy firmy Gablenz i Syn. „Musztarda” było napisane majuskułą, ale nazwa firmy jakimś pokrętnym liternictwem bez zachowania odstępów.

– „Musztarda Gablenzysyn” – przeczytałem z miękkim „zi” nieświadomy niemieckiego brzmienia nazwiska.

– „Gablenzysyn! – zarechotał ubawiony wyrostek. To tak prawie jak „skurwysyn” – dodał rezolutnie. Dostało mu się za używanie mocnych słów przy dziecku, ale od tej pory gospodarz szczególnie dobierał teksty do moich popisów unikając słów niemieckich.

Pewnego wieczoru rozmowy przerwały salwy artylerii. W czerni nocy nagle wbiły się długie palce reflektorów buszujących po niebie. Wszyscy wybiegliśmy przed dom. Przerwy w kanonadzie wypełniało jednostajne buczenie jakby uparty opasły bąk zmierzał do siebie tylko wiadomego celu. „Amerykan leci!” – ktoś zawołał. Pewnie Rusek – dociekał inny. Ja też włączyłem się w rozważania awiacyjne. „Może to mój wujek Władek?” – wykrzyknąłem. Twarze obecnych zwróciły się ku mnie. Miałem podstawy do takiego przypuszczenia, bo wujek rzeczywiście był w nocnych bombowcach RAF-u.

– Wujek, czy nie wujek – przerwała dociekania gospodyni – daj Boże zdrowie tym lotnikom i niech psiejuchy ich nie dostanom!

Złożyła ręce do modlitwy, a potem cała grupa mamrotała jedne po drugich ojczenasze i zdrowaśki, a wspaniały bąk buczał jednostajnie i chyba psiejuchy go nie dostały, bo nie było żadnej detonacji ani rozpaczliwego wycia silników nurkującego samolotu, a huczenie ścichło spokojnie za horyzontem, działa umilkły, reflektory zgasły. Wtedy dopiero doszły do głosu polne koniki wypełniając noc należnym naturze donośnym cykaniem, ale ludziom ani w głowie było słuchanie tego koncertu. Ktoś zaintonował „Pod Twoją obronę” i jak apel wieczorny niósł się ten śpiew ku ciemnemu niebu wraz z uczuciami nadziei utrudzonych i udręczonych ludzi. Sądząc z czasu i trasy przelotu – musiał to być lot ze zrzutem, być może dla powstańczej Warszawy.

Pewnego wieczora gospodarz oświadczył: „Rano nie idziewa w pole. Kontyngent będzie”. Zdumiała mnie ta zapowiedź. Kontyngent tutaj, gdzie nie ma kolei? To słowo kojarzyłem z pociągiem pancernym, który nie wiadomo czemu zajeżdżał kiedyś na stację w Czyżynach. Gdy kręcili się przy nim żołnierze, ktoś powiedział: „Nowy kontyngent”. Popatrzyłem na maskujące malunki na wieżach strzelniczych – farba wyglądała na świeżą, więc chyba rzeczywiście kontyngent był nowy. I tak mi się już to słowo skojarzyło. Długo zachodziłem w głowę jak to będzie z kontyngentem w Kantorowicach. Jakież było moje rozczarowanie, gdy przed południem nadjechała polną drogą rozklekotana ciężarówka z otwartą skrzynią i dwie furmanki. Wsiedli starszawi Niemcy o pomarszczonych twarzach, w szarych mundurach i w furażerkach. Kręcili się po obejściu, zabrali worek ze zbożem, a w końcu wywlekli z chlewa świnię. Zwierzę przeraźliwie kwiczało, gdy wciągali je za uszy po pochylni z ustawionej skośnie burty furmanki. Gdy Niemcy odjeżdżali, gospodyni płakała – zapewne z żalu za ukochanym zwierzęciem, które miało zasilić Trzecią Rzeszę.

Ale największe wrażenie, jakie w mojej pamięci pozostawiły Kantorowice, było wcześniejsze i wcale nie wojennej natury. Przeżyłem tam jedyną w moim życiu prawdziwą Noc Świętojańską, którą miejscowi nazywali Sobótką. Cała wieś wyległa na łąki. Płonęły ogniska, przez które z dzikimi okrzykami skakali młodzieńcy zakłócając regularne tory snopów iskier. To tu, to tam rozlegały się nieznanne mi melodie. Młodszy chłopcy puszczali w ruch „macharki”. Było to coś na wzór cyborium – podziurawiona gwoździem puszcza z sianem i tłącym się drewnem zawieszona na sznurku, którą wywijają się

młyńce nad głową kreśląc ogniste koła. Jak zimne ognie płonęły z sykiem lonty od min (skąd oni to mieli?). Byłem oczarowany grą ognia w ciemności nocy i oszołomiony ludzkim gwarem, gdy wtem usłyszałem za plecami: „Te, Busiek, góń mnie!” i zobaczyłem Poldka startującego do biegu. Puściłem się za nim, lecz ten sadził wielkimi susami i dla podkreślenia swej klasy biegacza przy każdym kroku uderzał piętą w pośladek, co mnie tak rozśmieszało, że co chwila skurcz przepony rzucał mnie na ziemię. I biegłem tak przez noc zanosząc się i padając ze śmiechu jak młody prasłowiański bożek wesołości triumfujący w tej jedynej noc nad ponurą machiną wojenną.

Pół wieku później długo nie mogłem uwierzyć obrazowi w telewizji pokazującemu skutki trąby powietrznej, wielkiej rzadkości w naszym klimacie, która właśnie Kantorowice obrała sobie za miejsce pokazu swej potęgi. Oglądając na ekranie starszawego gospodarza oprowadzającego ekipę po ruinach swych zabudowań, pomyślałem, że może to ten sam Poldek, najbardziej stylowy biegacz sobótkowy, który swoimi figlami przyczyniał się do naprawy moich słabych płuc. Cóż, wyroki losu są niezbadane.

Jesienią matka zabrała mnie z powrotem do Czyżyn, ale już nie do Semczyszynowej, bo tamto mieszkanie zajęli niemieccy oficerowie. Zamieszkaliśmy u państwa Malinowskich na wprost bramy wjazdowej lotniska, od której dzieliła nas tylko szerokość drogi. Można było oglądać samoloty kołujące, startujące i lądujące. Czasem miały rozbieg wzdłuż drogi, a przy zmianie wiatru – prosto na nasz dom. Niekiedy miało się wrażenie, że bombowiec już nie zdoła się poderwać, kiedy w ostatnim momencie przeskakiwał ogrodzenie i z potwornym rykiem rozpościerał skrzydła tuż nad dachem.

Wkrótce w naszym pokoju przybyło kilkoro widzów tych popisów. Po przebyciu piekła Powstania Warszawskiego, obozu w Pruszkowie i długiej tułaczki – dołączyli do nas: ciocia Barbara z Jackiem i ciocia Jadwiga z dużo starszym od nas Andrzejem. Obie ciotki i Andrzej podjęli wkrótce prace w Monopolu, zaś ja i Jacek spędzaliśmy czas w domu pod opieką babci. Z rozmów starszych dowiedziałem się, że ojciec Andrzeja jest w oflagu (skąd zresztą niedługo potem wrócił). Ojciec Jacka, legendarny wujek Lolek, zginął pod gruzami domu w Warszawie przy ul. Barbary – pośrednio wskutek nałogu palenia. Ponieważ w piwnicznym schronie palenie było zabronione, wyszedł z kolegą na klatkę schodową i właśnie w tym czasie spadła bomba. Schron ocalał, lecz reszta kamienicy zamieniła się w rumowisko grzebiąc obydwu amatorów „dymka”. Tak więc pośrednim sprawcą ich śmierci był ten sam tytoń, który w Czyżynach utrzymywał nas przy życiu.

Ponieważ Jacek dużo i chętnie rysował, babcia kupiła nam kilka zeszytów. Ja nie lubiłem rysowania, ale za to mogłem pod jego dyktando pisać objaśnienia, co robiłem starannie, lecz wyłącznie literami „drukowanymi” (pisanych nie uznawałem traktując je jako rodzaj dziwactwa). Kiedy dziś wspominam tamte nasze grafiki, uderza mnie, że miały za temat wyłącznie strzelaniny z czołgów, samolotów, motocykli, okrętów i wszelkich innych możliwych narzędzi niszczenia. Koncentracja przedstawianego ognia ze wszystkich broni była tak wielka, że żadna wyobrażona tam jednostka nie miała prawa ocaleć. Dziwne to, ale Jacek nigdy nie opowiadał o przeżyciach w Powstaniu. Raz tylko podzielił się sensacyjną informacją, że jedna dziewczynka siusiała jak chłopak na stojąco. Jakoś mnie wtedy nie zainteresowały szczegóły tego wydarzenia. Teraz przekazując dalej tę frapującą wieść myślę, że biedne dziecko musiało się męczyć, żeby oddać mocz na ścianę i możliwie nie zanieczyszczać podłogi w piwnicy. O innych zdarzeniach nigdy się od niego nie dowiedziałem, chociaż był chłopcem rozmownym.

Podobne blokady pamięci niektórych wydarzeń z tamtego czasu obserwuję i u siebie. Dopiero teraz dowiedziałem się od matki o przyczynie naszej pospiesznej przeprowadzki na Łęg w mroźny styczniowy wieczór. Otóż lotnisko zostało zbombardowane, a siła eksplozji wybiła wszystkie szyby w naszym pokoju. Pan Malinowski zabił okna deskami, ale było jasne że nikt nie zdoła tam mieszkać aż do lata. Ja tego bombardowania nie pamiętam. Za to wędrówkę w śniegu widzę przed oczami jak film oglądany wczoraj. Każdy z dorosłych niósł jakiś bagaż. Ja szedłem z wypchaną torbą śniadaniową. Największy potwornie pękaty toból spoczywał na moich saneczkach, jakby ktoś pomnikowy głaz postawił na donicze. Toból ubezpieczał towarzyszący nam Lwowiak, który też zamieszkał u Malinowskich. Mimo że nie był słabeuszem, na wybojach nie dawał rady i krzyczał: „Ta joj! Ta stójci! Maneli lecu!” a myśmy pokładali się ze śmiechu i z powodu leczących maneli i z jego dziwacznej kresowej mowy.

Na Łęgu zamieszkaliśmy w drewnianym domu wiejskim, zaś Lwowiak w murowanym po drugiej stronie drogi. Ale w pierwszy wieczór jedliśmy wspólną improwizowaną naprędce kolację. Lwowiak, jak się później dowiedziałem, był specjalista technologii wyrobów tytoniowych i zatrudniał się w branży na trasie swojej wędrówki na zachód w miarę zbliżania się wyzwolenia od wschodu. Przy kolacji opowiadał o niektórych swoich przejściach. Sens jego opowieści był zawsze frapujący i tajemniczy, ale wszyscy pękali ze śmiechu, bo duch jego języka mimowolnie przenosił nas w rejony bliskie Wesołej Lwowskiej Fali, dzięki czemu dramatyczne styczniowe przejście zamieniło się niemal w majówkę.

Nie rozumieliśmy wtedy specyfiki Lwowa i jego mieszkańców, więc niektóre opowieści technologa były zupełnie niezrozumiałe. Jedną z nich sprawił nam nieoczekiwanie wielką radość. Rzecz dotyczyła Ukraińców. Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek mówił o nich z wrogością, raczej wyczuwało się mieszaninę zadziwienia i poczucia obcości. W swej mimo woli koronnej opowieści perorował:

– Taj co ich za mowa jeść. Raz ja najął majstra, że miał zrobić drewniany stoły du sortowni. Ta drzewo porozysychałusi i błaty ni pasuju. To ja wziął młotek, żeby mu pomóc ponabijać. A ten do mni bałaka „Bij tu pry bregu, panie, prykancie”

– Panie prykancie! Panie prykancie! – wołaliśmy z Jackiem pokładając się ze śmiechu, bo domniemany „pan prykant” wydał się nam wcieleniem wszelkiej groteski i zajął pozycję domowego chowu clowna który w żywej postaci nie był dany dzieciom czasu wojny. Nasz clown stworzony z drgań powietrza pojawiał się odtąd w różnych sytuacjach, jako wstęp do żartu, a nawet w kłótni mówiło się z politowaniem: „paaanie prykancie!”

Wtedy tego nie czułem, ale dziś wyraźnie widzę piękno Łęgu (oczywiście nie było wtedy elektrociepłowni i wytwórni filmowej). Droga do Czyżyn wiodła obok dużego stawu, przy którym szeregami rosły smętne bulwiaste wierzby. Pola rozłożone na łagodnych pagórkach w stronę Wisły przechodziły stopniowo w łąki, a droga w tamtym kierunku rozmieniała się na ścieżki ginące w nadrzecznych kępach drzew. Wydawał się też, że nie ma lepszego miejsca dla przetrwania zbliżającego się frontu. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że plan Żukowa zakładał szerokie obejście Krakowa i mieliśmy spore obawy, choćby po doświadczeniu z lotniskiem.

Pewnego dnia dotarła do nas wieść, że w nocy będzie wielka nawała ogniowa, której nasze domy nie przetrzymają. Po radzie powzięto decyzję o udaniu się do szkoły w Czyżynach, gdzie było solidne podziemie. Poszliśmy tam jeszcze przed wieczorem. W podziemiu były przygotowane ławki. W pobliżu pieca stała duża skrzynia, a na niej świeca jako jedyne oświetlenie pomieszczenia. Zajęliśmy dobre miejsca blisko pieca i tej skrzyni ze świecą. Matka poszła rozejrzeć się po terenie. Wróciła z sensacyjną wiadomością.

– Słuchajcie – mówiła – Jaworski, ten spryciarz to on poszedł z drugiej strony szkoły i tam zszedł po schodach. Mówię Wam, chodźcie. Tam musi być lepiej.

Poszliśmy więc szukać większej wygody. Zszedłszy po drugich schodach zobaczyliśmy podobne pomieszczenie ze skrzynią i świecą. Zbliżywszy się bardziej stwierdziliśmy, że to ta sama skrzynia, i ta sama świeca, tylko widziana z drugiej strony. Nasze miejsca blisko pieca były już oczywiście zajęte. Pod ścianą zaś siedział na krzeselku Jaworski, ten spryciarz. Siedzieliśmy tam do rana w dręczącej nudzie i niewygodach. Nic się nie zdarzyło.

Rano wracaliśmy na Łęg. Słońce świeciło jaskrawo. Gdy dochodziliśmy do naszej chałupki, zobaczyliśmy w ogrodzie gardziel granatnika wymierzonego ponad nasz dach. Obok niego leżało w śniegu dwóch niemieckich żołnierzy. Przyglądali się nam w milczeniu i bezruchu. Ożywili się dopiero, kiedy matka zaczęła otwierać drzwi kluczem.

– Guten Morgen – pozdrawiali nas skwapliwie.

Ale tylko babcia podjęła wymianę grzeczności i odgutenmorgenowała im. Weszliśmy do naszego zagraconego mieszkania. Ciotki rozpały pod kuchnią. Babcia nastawiła czajnik. Ciepło zaczęło przenikać zdrętwałe mięśnie i obolałe kości. Zasiadliśmy do śniadania, kiedy rozległo się pukanie. Po chwili wszedł jeden z Niemców od granatnika. Nisko kłaniał się w progu, co wyglądało dziwnie, bo zwykle traktowali nas z góry.

– Bitte, haben Sie Tee? – pytał Niemiec błagalnie pokazując pustą manierkę.

– Ja, ja bitte – odrzekła babcia napelniając mu szklankę i robiąc miejsce przy stole.

Przysiadł się niepewnie. Objął szklankę końcami zbielejących palców i chłonął płynące z niej ciepło. Rozgrzawszy ręce rozpiął płaszcz na piersiach, wyciągnął zza pazuchy zeszytniałą na mrozie kurę i podał ją zdumionej babci.

– Kochen Sie das – powiedział.

– Mówi, że oni kochają ptaki – zażartował Andrzej.

– Ta już szczygólni te upolowany u sąsiadów – dorzucił Lwowiak.

Babcia podsunęła Niemcu kubek ze smalcem i talerz z tym naszym kamienistym chlebem usianym śrucinami. Ten pałaszował zawzięcie uśmiechając się nieśmiało. Czasem tylko krzywił się, gdy niespodziewany kamienny śrut zazgrzytał mu w zębach. Babcia wzięła kurę do kuchni i przystąpiła do patroszenia jej. Niemiec dopił herbatę. Wstał. Obciągnął płaszcz. Miał na tyle taktu, że nie hajhitłował, tylko stuknął obcasami i ukłonił się sztywno.

– Danke schön ! – wypalił dziarsko, a po chwili wskazując palcem na drzwi dodał niepewnie:

– Mein Kamerad dort.

– Kamerad auch, bitte – powiedziała babcia.

Chwilę po wyjściu Niemca wszedł jego kolega i ceremoniał śniadaniowy powtórzył się. Po śniadaniu wszystkich zmorzył sen i pokładli się, gdzie kto mógł. Od matki wiem, że w kuchni na rozkładanym łóżku chrapali Niemcy w dokładnie odmierzonych godzinnych zmianach.

Obudziłem się po południu. Babcia gotowała obiad z kurą jako daniem głównym, lecz ta była ciągle twarda i nie zanosilo się na ucztę wcześniej niż wieczorem. Pod domem rozdzwonił się telefon. Niemcy coś szwargotali do słuchawki. Potem jeszcze łącznik na motocyklu. Coś poszwargotali. Łącznik odjechał, a „nasi” Niemcy pośpiesznie zwinęli stanowisko i ruszyli w stronę ośnieżonych pagórków nad

Wisłą taszcząc ze sobą swoją śmiercionośną rurę. Wywiązała się dyskusja na temat ich szans. Przeważała opinia, że nie zdołają dołączyć do swoich wobec impetu radzieckiego natarcia. I już nie wrócą do swojej ukochanej kury.

Jak miały przebiegać godziny przesilenia i co nam groziło – tego nikt nie wiedział. Lecz jednogłośnie zdecydowano nie iść już do szkolnej piwnicy. Postanowiono przeczekać w piwnicy w willi po drugiej stronie drogi. Było tam ciasno i duszno, ale co było robić? Mnie i Jacka ułożono na jakiejś skrzyni przykrytej pierzyną. Kiedy słońce zajrzało przez piwniczne okienko, dorośli jeszcze spali utrudzeni nocnym czuwaniem, a my wyspani wymknęliśmy się z budynku z poczuciem złotej wolności. Dobięliśmy do naszej chałupki po sanki, a potem na roziskrzone słońcem pagórki. Na łagodnych zboczach sanna była znakomita. Gdzieś w oddali grzmiała kanonada. Czasem pocisk przelatował bliżej z bolesnym jękiem, ale nas to zupełnie nie interesowało. Zabawę przerwało przybycie wszystkich trzech ciotek i Andrzeja.

- Chłopcy, natychmiast do domu! Przecież strzelają! – wykrzykiwali z przejęciem intruzi.
- Ale nie do nas – próbowaliśmy rzeczowej perswazji.

Nie pomogło. Trzeba było zabrać sanki i ruszyć do domu. Reszta dnia upłynęła spokojnie. Nigdzie nie było żadnych wojsk, tylko z oddali dobiegał cichy pomruk kanonady. Porządkowano „manele” zwiezione od Malinowskich. Noc spokojnie przespaliśmy w domu. Rano obudził mnie potworny łomot. Andrzej leżał obok łóżka z twarzą przy podłodze i wrzeszczał na całe gardło: „Czołgi! Czołgi! Natarcie idzie!” Nie wiem, jak Jacek, bardziej oswojony z czołgami, ale ja przeraziłem się na dobre i układałem się pod łóżkiem w głębi pokoju. Trzeba było kilkakrotnego powtórzenia alarmu, żebym zorientował się, że Andrzej leżąc uderzał nogą w kocioł od bielizny stojący pod zagraconym biurkiem, a podskakująca pokrywa czyniła hałas iście piekielny. Ponieważ wokół był spokój, ciocia Barbara wzięła mnie i Jacka na sanki. Mimo ostrego słońca każdy oddech pozostawiał kłęby pary w mroźnym powietrzu. Poszliśmy w stronę pagórka i stanęliśmy jak wryci. U jego podnóża wyciągało ku niebu długie szyje kilka dział przeciwlotniczych. Krzątały się przy nich dziwne postacie w watowanych ubraniach i czapkach z nausznikami zawiązanymi pod brodą. Chwilę pogapiliśmy się, trochę pojeździliśmy i wróciliśmy do domu. W czasie przygotowań do obiadu rozległo się pukanie do drzwi. Babcia otworzyła. Za drzwiami stała „watowana” postać.

- Zdravstvujtie! – dobyło się spomiędzy nauszników – Jest-li u was kipiatak, pażaujsta?
- Zdravstvujtie! Konieczno, zachoditie. – babcia znała rosyjski lepiej od niemieckiego, jeszcze z czasów zesłania przez carat (zresztą moja matka urodziła się w Mohylowie).
- Razdiewajties’ da sadities’ – zapraszała babcia.

Waciaste zjawisko zdjęło czapę i fufaję zobaczyliśmy, że w środku była kobieta o szerokiej twarzy i wydatnym biuście.

Ja i Jacek patrzyliśmy jak urzeczeni, ale nie fizjonomią czy anatomią, lecz szerokimi pagonami z kolorowymi paskami i gwiazdkami, jak również olbrzymim pistoletem w kaburze zawieszanej na pasie. Oczywiście poczęstunek i herbata, lecz tym razem skierowane w inną stronę świata.

- Znajete, my zdies’ pri orudijach. – wyjaśniła „Ruska” – zaszczyszczajem was ot samoliotow.
- Znaju – odparła babcia. Spasibo!
- Zaszczyszczają, zaszczyszczają – zaczęliśmy z Jackiem komentować. Mnie się to kojarzyło z siusianiami szczotkowaniem. Obecność tych kobiet miała później okazać się brzemienna w pozytywne dla nas skutki.

Kiedy stało się jasne, że front już „przeszedł bokiem”, moja matka i ciocia Jadwiga postanowiły wybrać się do Malinowskich po pozostałe tam jeszcze „manele”. W przypadku matki chodziło o deputat alkoholowo-tytoniowy, którego dostawę do Krakowa ostatnio zaniedbała. Wydarzenia u Malinowskich znam z relacji obu kobiet. Gdy zbliżały się do domu od strony pola, drogą szedł kilkusobowy patrol żołnierzy radzieckich. Okazało się, że cele były zbieżne. Gdy matka stanęła przed spiżarnią, wyrósł obok niej żołdaci i ponagłał: „Odkrywaj, burżujka! Wodku dawaj! Sało dawaj!” Matka osłupiała i nie mogła znaleźć klucza. Żołnierz nie czekając rozwalili drzwiczki kopniakami, po czym skwapliwie załadował butelki i kartony do przepastnych kieszeni. Wtem rozległ się krzyk: „Szpion! Szpion! Ganiajcie jego!” i żołnierz rzucił się w kierunku wołającego. Matka z ciocią wyszły przed dom i ujrzały w polu uciekającego pana Malinowskiego, za nim utykającego w biegu „starszinę”, a za nim z kolei kilku biegnących i strzelających z rzadka żołnierzy. Uciekinier biegnąc bez obciążenia nie dał żadnych szans pogoni. Tymczasem obie kobiety spieszenie oddaliły się – ciocia z butami Andrzeja w rękę, matka, niestety – bez bagażu. Pan Malinowski opowiadał później, że został oskarżony przez starszinę o posiadanie broni w piwnicy, do której miał go natychmiast zaprowadzić. Schodząc po schodach poczuł luźny pistolet na karku. Mając wątpliwości, czy wyjdzie z tego żywy, zareagował błyskawicznym skłonem, przerolował starszinę przez biodro, zrzucił go ze schodów i uciekł. Jednego tylko nie mógł później zrozumieć – w jaki sposób sforsował wysoki parkan.

U nas na Łęgu takie incydenty nie miały miejsca. Żołnierzy zapuszczających się w te strony skutecznie odstraszały oficerskie pagony naszych „żenszczin” i ich pryncypialność. Po kilku dniach ich pobytu

przyjechały ciężkie samochody Działa z opuszczonymi nisko lufami powleczone w kierunku Czyżyn. Na skrzyniach wozów stały nasze znajome i żegnały nas machaniem „płatkami” w rękach. I my też machaliśmy żegnając te amazonki XX wieku podążające za wojennym zgiełkiem, aby zwalczyć niedobitki wściekłych Ikarów z Luftwaffe.

I tak dla mnie skończyła się wojna, która do tej pory była w moim życiu „od zawsze”. Przeszła jak gniewna burza. Zabrała mi ojca i pokieroszowała dalszą rodzinę. O mnie zaś ocierała się tylko złowrogim bokiem nie czyniąc bezpośredniej krzywdy cielesnej, jakby popisując się jedynie swą straszliwą potęgą. I jak odchodząca burza potrafi jeszcze rzucić na pożegnanie niespodziewany śmiertciony grom, tak i w moją pamięć czasów świeżo zaznanego pokoju wbiły się jeszcze dwa przeżycia, które należy zaliczyć do wojennych.

Wiosną 1945 roku matka zabrała mnie do Krakowa do teatru. Było to w dniu Święta Trzeciego Maja, którego nie obchodzono, ale jednak obchodzono (z takich dwuznaczności składało się w dużej mierze nasze dalsze dialektyczne życie). Przed spektaklem staliśmy u wejścia do teatru, który znajdował się przy Plantach. Jezdnią szedł pochód. Podziwiałem harcerzy w różnokolorowych chustach maszerujących w takt melodii wykonywanej na werblach i trąbkach fanfarowych. Można by długo przyglądać się, lecz dzwonek wezwał nas na widownię. Z przedstawienia nie pamiętam nic, co tym razem wyznają z dumą. W przerwie wyszliśmy do foyer. Przed teatrem stał tłumek. „Harcerza zastrzelili, sukinsyny!” – dobiegł krzyk przez otwarte drzwi zewnętrzne. Ponieważ nie było strzelaniny, wyszliśmy na zewnątrz, skąd było widać ruch przy straganach na Plantach. Ludzie naręczami kupowali kwiaty i rzucali je na skraj jezdnii, skąd zabrano ciało harcerza. Po chwili przyjechała ciężarówka z wojskiem (nie pamiętam, w jakich mundurach), a za nią „łazik”, z którego wysiadł oficer w wysokich butach. „UB” poinformował ktoś w tłumie. Oficer skierował się ku piramidzie z kwiatów i zaczął z widoczną wściekłością rozkopywać je nogami. Tłum zareagował pomrukiem i zacieśnił pierścień wokół oficera. Ten wyjął z kabury pistolet i strzelał w powietrze, a żołnierze wyskakowali z samochodu odcinając szpalerem miejsce zajścia. Co było dalej, nie wiem, bo znów rozległ się dzwonek i poszliśmy pograć się w bajkowy świat sztuki.

Drugie przeżycie wiąże się nie z wydarzeniem, a ze swoistym komentarzem. W letni wieczór siedzieliśmy w kuchni szykując się do kolacji. Ciocia Barbara rozpałała ogień pod kuchenką. Andrzej czytał głośno gazetę. W krótkim doniesieniu opisywano skutki nalotu na dwa japońskie miasta z użyciem nowej bomby zwanej atomową. W miarę rozwoju relacji ciotka, której słowo „bomba” mówiło najczęściej, coraz wścieklej szturchała pogrzebaczem spopielał węgiel w palenisku, aż wreszcie uniosła wysoko pogrzebacz i w pozie statui wściekłości zwróciła twarz ku sufitowi jakby biorąc niebiosa na świadka. „Łobuuuzy! – zawyla – niedługo cały świat rozwał! W kategoriach racjonalnych nie dawałem wiary, bo świat jest przecież taki wielki, ale nie na żarty przeraziła mnie siła wyrazu scenicznego, jaką cholerycy bywają obdarzeni z natury. Dalsze pół wieku nie przyniosło rozstrzygnięcia kwestii. I chociaż ta nadwiślańska Kassandra spoczywa już spokojnie w ziemi obok swej matki, to jej groźny pogrzebacz nadal wisi nad światem.